

WIADOMOŚCI MISYJNE

INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO
ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY

NR 2 (16) 2010



DRODZY PRZYJACIELE MISJI!

Kolejny numer Wiadomości Misyjnych ukazuje się w czasie, gdy nasze myśli i serca w sposób szczególny kierują się do Boga, aby uwielbiać Go i dziękować za dzieło zbawienia w Jezusie Chrystusie naszym Panu i Zbawicielu. Wspominając Śmierć i Zmartwychwstanie Syna Bożego uświadamiamy sobie na nowo, że Chrystus oddał życie za wszystkich ludzi. Uświadamiamy sobie także wartość misyjną ofiary cierpienia i modlitwy. Ofiarowanie cierpienia za zbawienie naszych braci i sióstr nieznających Chrystusa jest naśladowaniem Chrystusa, o którym prorok pisze: «On się obarczył naszym cierpieniem, on dźwigał nasze boleści» (Iz 53, 4). Jest także, za przykładem Apostoła Narodów, dopełnianiem udźęk, które Chrystus cierpiał dla dobra Kościoła (por. Kol 1, 24).



Redakcja:

ks. Stanisław Deszcz CM

Agata Gruzła

kl. Jacek Międlar

www.adgentes.misjonarze.pl

Sekretariat Misyjny Zgromadzenia

Księży Misjonarzy

ul. Stradomska 4

31-058 Kraków

tel.: (12) 422 88 77 wew. 305

sekretariatmisyjny@misjonarze.pl

Przykładem szczególnie odzwierciedlającym wartość ofiarowanego cierpienia za dzieło misyjne jest postać św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która żyjąc w klasztorze kontemplacyjnym, ofiarowała swoje cierpienie i modlitwy w intencji misji. Dla jej zasług Kościół obrał ją za patronkę misji.

Jeżeli domu Pan nie zbuduje na próżno się trudzą Ci, którzy go wznoszą (Ps 126, 1). Nie bez racji, misjonarze prosząc o pomoc, zawsze na pierwszym miejscu proszą o modlitwę. „Wiadomości Misyjne” umożliwiają nam spotkanie z naszymi misjonarzami poprzez lekturę ich listów czy informacje o ich pracy i potrzebach, pomagając nam w ten sposób kierować nasze modlitwy w intencjach konkretnych osób i potrzeb. Ofiarując nasze modlitwy i cierpienia w intencji naszych misjonarzy stajemy się apostołami w modlitwie. Wspierając dzieła prowadzone przez naszych misjonarzy stajemy się świadkami miłości.

W tym numerze „Wiadomości Misyjnych” proponujemy Wam spotkanie z misjami na Madagaskarze poprzez lekturę listu księdza Witolda Oparcika i w Kazachstanie poprzez wiadomości nadesłane przez księdza Macieja Mecha, a także spotkanie z misjami na Haiti, w Chinach i Kongo poprzez wspomnienia misjonarzy, którzy pracowali w tych krajach. Cieszymy się także, że możemy podzielić się wiadomościami z działalności Koła Misyjnego w Nowym Jorku oraz zaprosić do wsparcia projektu realizowanego w Papui Nowej Gwinei przez księdza Włodzimierza Małotę.



Wszystkim życzymy radosnego przeżywania Zmartwychwstania Chrystusa.

Ks. Stanisław Deszcz CM
Dyrektor Sekretariatu Misyjnego

Niedziela Świętej Rodziny, 2009 r.
Ranomafana

JUBILEUSZ WINCENTYŃSKI MISJI MALGASKIEJ

Mało który z krajów misyjnych, gdzie pracują Księża Misjonarze i Siostry Miłosierdzia, może poszczycić się takim zainteresowaniem, wręcz miłością św. Wincentego a Paulo, jak Madagaskar. On sam chętnie by wyjechał na tę misję, lecz jeśli kierownicze stanowisko w Zgromadzeniu nie pozwoliło mu tego uczynić, to dużą część swego serca miłującego ubogich dał temu krajowi. Wdzięczni mu jesteśmy za to, szczególnie my, Rodzina Wincentyńska pracująca na nowo od przeszło 100 lat na tej wyspie.



Dziś Prowincja Malgaska liczy: 2 biskupów, 77 kapłanów, 6 braci i 30 seminarzystów w Wyższym Seminarium. W tym połowa kapłanów i jeden biskup pochodzą z innych Prowincji, którzy kiedyś stanowili jej tron. Są to księża z Francji – 4, z Polski – 6, z Włoch – 11, Słowenii – 3, Hiszpanii – 10. Obecny tron Prowincji stanowią Konfratry Malgascy.

Ja, na wyspę św. Wawrzyńca wypływałem myślami i pragnieniami będąc jeszcze w seminarium stradomskim. Już jako diakon napisałem do dawnego biskupa P. Zevaco list, na który odpisując mi tenże Biskup-Konfrater, zaprosił mnie do pracy misyjnej w jego diecezji Fort-Dauphin. Za pozwoleniem ówczesnego Wizytatora Polskiej Prowincji ks. Franciszka Myszki zostałem wypożyczony Prowincji Malgaskiej i wyjechałem na misje „ad gentes”, trzy miesiące po święceniach na posadzce stradomskiego kościoła pod wezwaniem Nawrócenia św. Pawła. Dziękuję Bogu, Apostołowi Narodów, św. Wincentemu szczególnie i przełożonym maluczkiego Zgromadzenia w Polsce za możliwość wyjazdu na misje i na mój wymarzony Madagaskar. Aby to była nie tylko moja decyzja napisałem sobie na skrawku papieru – i do dziś go przechowuję jako prywatny dokument – słowa «*Bądź wola Twoja*», ale wspaniałe, aby to było tylko dla mnie. Wyjazd na misje jest łaską specjalną, mi udzieloną, i z czasem cenię sobie ten dar coraz bardziej. Jeszcze jako mały chłopiec chciałem zostać księdzem diecezjalnym, jak mój proboszcz, ale nigdy nie myślałem o misjach. Dom św. Krzyża w Warszawie, oddalony o przeszło 100 km był najbliżej moich stron, ale wtedy wcale nie był mi znany. Mówiąc po ludzku, przypadek sprawił, że poszedłem do Małego Seminarium w Krakowie oddalonego jeszcze bardziej, bo przeszło 200 km od moich rodzinnych stron.

Z tegorocznymi obchodami 350-lecia Narodzin dla Nieba naszych Rodziców Duchowych zetknąłem się już w Polsce, będąc tego roku na urlopie w kraju. A właściwą, rozpoczynając Rok Wincentyński rocznicę, świętowałem 27 września w Paryżu, kolebce wincentyńskiej na ul. de Sevres 95. Z nowymi siłami wróciłem w dniu Patronki Misji św. Tereski na Madagaskar. Była to moja 11 podróż na tę ukochaną przez naszego Ojca wyspę. Wróciłem z podobnymi odczuciami jakie miał św. Wincenty – jak opisują jego dzieje – kiedy jedyny raz odwiedził swoją rodzinę w Poui. Mówią, że w miarę jedzenia rośnie apetyt.

Coraz bardziej przekonuję się, że tu jest moje miejsce. Już dawno znalazłem tu swoją gwiazdę – mała gwiazdka pod Krzyżem Południa.

Obchody Jubileuszu w naszej małej wiosce, zagubionej wśród gór, prawie odciętej od świata, bo bez TV, internetu, nawet telefonu i poczty, która zwie się Ranomafana = *Gorąca Woda* nie są huczne, ale serca misjonarzy z dalekiego kraju są gorące, a malgaskie siostry szarytki, pracowite, pobożne. To chyba od tutejszej „gorącej wody” bierzemy taką moc. No – i rzecz jasna – od Eucharystii. O ile nie jesteśmy w buszu, staramy się w każdą niedzielę sprawować popołudniowe nabożeństwa Eucharystyczne. W Fort-Dauphin (obecna nazwa Tolanaro = *Dużo Kości*), siedzibie Prowincji, gdzie zaczęli pracę pierwsi Misjonarze za czasów św. Założyciela sądzę, że obchody będą znaczniejsze. Wiem, że z okazji tej rocznicy 15 sierpnia planują święcenia kapłańskie – 3 księży diecezjalnych i 4 misjonarzy. Tutaj, jak mówi sama nazwa, dużo misjonarzy złożyło swoje kości i gdzie moje chcę złożyć, jeśli będzie taka Jego wola. Ważniejsze jest jednak, by w naszych sercach wzrosła miłość do tych czekoladowych Braci, ich szanowanie, a nadto gorliwość wincentyńska.



Jest gorący wieczór grudniowy, Uroczystość Świętej Rodziny. Wróciłem z odpustu w buszu ranomafańskim. Ks. Stanisław „buszuje” już od tygodnia. A ja jestem codziennie na miejscu i po południu wyjeżdżam lub idę piechotą na filie, których w promieniu 30 km mamy 26. Mnie zaczynają już wysiadać nogi – „spacerują” tu przeszło 35 lat. Parafia nasza jest mniej więcej w 30% chrześcijańska, w tym połowa protestantów. Ostatnio namnożyło się tu różnych sekt, które odciągają nam nawet wiernych, bo tu chrześcijaństwo jeszcze w powijakach. Pomaga nam w pracy 5 siostr i 30 katechistów. Nasz tegoroczny dorobek to: 128 ochrzczonych – prawie połowa ludzi dorosłych, 65 Pierwszych Komunii Świętych, 45 bierzmowań i 12 ślubów. W przyszłym roku przymierzamy się do Misji Świętych, które poprowadziliby nasi malgascy misjonarze z grupy misyjnej. Możemy się poszczycić 2 siostrami szarytkami z parafii i 2 seminarzystami, a w polskiej grupie 5 księżmi, diakonem i 4 seminarzystami.



Misjonarze z dalekich krajów Europy jest coraz mniej na Madagaskarze. Niegdyś z samej Prowincji Polskiej było nas tu przeszło dwudziestu. Dobrze, że chociaż mamy rodzime powołania. Nie są takie stabilne, ale dalej pokładamy nadzieję w protekcji samego św. Wincentego i wsparciu św. Ludwika. Prosimy też kochani Konfratryzy i Drodzy Rodacy o pomoc, tak duchową szczególnie, jak i materialną na ile was stać, w formowaniu tych młodych synów wincentyńskich i córek św. Ludwika. A my obiecujemy modlitwę dziękczynną za Wami i za całym maluczkiem Zgromadzeniem Wincentyńskiej Rodziny. Będzie to nasz – śmiem twierdzić – najlepszy upominek, dla naszych Rodziców Duchowych w niebie, na te Uroczystości Jubileuszowe.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z nami wszystkimi. Veloma et grand merci.

*Ks. Witold Oparcik CM
Ranomafana – Madagaskar*

W STEPIE SZEROKIM...



Po wielu latach oczekiwania, modlitw i próśb, spełniło się marzenie z młodości. Opatrzność skierowała moje pierwsze misyjne kroki na „ziemię nieudzielną” w dalekie i bezkresne stepy kazachstańskiej ziemi. Przed wyjazdem bardzo często zadawano mi pytanie, czy się nie boję, czy wiem, co robię, czy nie obawiam się, że to może być zwykła pomyłka – wytwór fantazji młodego pełnego ideałów misjonarza. W duchu, przyznam się szczerze, śmiałem się sam z siebie. Już po podjęciu ostatecznej decyzji i zgodzie ks. Wizytatora, wszelkiego typu obawy, wątpliwości, jakieś niejasne wizje niedalekiej przyszłości nie zakłócały już mojego spokoju. Dlaczego? Oto odpowiedź: *Człowiek myśli Pan Bóg kreśli*. A Pan Bóg nieco mi pokreślił w życiowych planach. Jak już wcześniej wspomniałem bardzo chciałem jechać na misję, jednak jeszcze dwa lata temu stawiałem Panu Bogu warunek. Wszędzie gdzie chcesz, zachód, południe, każda strona świata – tylko



nie wschód! Tylko nie kraje byłego ZSRR. Skąd ta myśl – długo musiałbym opisywać, w każdym bądź razie moje myśli zawsze biegły w stronę Afryki, potem Ameryki Południowej lub Środkowej. Teraz już wiem, iż to gdzie jestem i to co robię, to nie tylko mój pomysł na najbliższe (daj Panie Boże) lata. W roku poprzedzającym mój wyjazd do Kazachstanu otrzymałem wiele znaków z nieba utwierdzających o właściwie obranym kierunku.

Przyszedł czas, by spakować plecak i zabrać rzeczy najpotrzebniejsze. Połowę bagażu zajęła odzież zimowa. Buty, kurtki, skarpety, czapki, rękawiczki – wszystko przewidziane na ekstremalne zimowe warunki. Wszystko okazało się niezbędne, gdyż zima tego roku była długa i bardzo sroga. Przez ponad dwa miesiące temperatura utrzymywała się na poziomie od -30°C do -40°C . Bywały okresy zupełnego przestoju w pracy i posłudze parafialnej. Przez blisko dwa tygodnie nosa za próg nie wystawialiśmy z powodu wielkiego mrozu. Życie w Szortandach i okolicznych pasiołkach zamierało, zajęcia w szkołach były odwołane, policja dla bezpieczeństwa również pozamykała główne drogi. Tak oto wyglądały moje pierwsze zimowe ferie w Kazachstanie.

Teraz już lepiej rozumiem, choć i tak do tej pory w niewielkim stopniu, co znaczyły dawane zsyłki na wschód Polaków, Ukraińców, Białorusinów i wielu jeszcze innych nacji narodowościowych.

Niektórzy ludzie do dzisiaj wspominają tragiczne historie, kiedy to musieli po wyrzuceniu z bydłowego wagonu, w zabójczy 50 stopniowy mróz kopać ziemianki, by przetrwać pierwszą, a potem kolejne noce. Jak walczyli o życie swoje i swoich dzieci jedząc, co się da, by nie zgasła iskra nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze i Bóg pozwoli doczekać powrotu do Polski. Niestety bardzo wielu owo marzenie zabrało ze sobą do grobu. Choć oni już dawno odeszli to pozostawili po sobie coś bezcennego, coś, co przez dziesiątki lat żyło jakby „swoim” życiem. Pozostawili po sobie żywy Kościół, pozostawili swoim dzieciom i wnukom modlitwy, które pomagały im przeżyć dramatyczne chwile. Po dzień dzisiejszy w jednym z pasiołków tj. Rajewka pewien podeszły już w latach pan, po zakończeniu mszy św. w języku rosyjskim odmawia piękną, dziękczynną modlitwę w naszym ojczyństym języku. Słuchając wypowiedaną przez niego, z wielkim zaangażowaniem serca i całej duszy, modlitwę odnosi się wrażenie jakby w niej była zawarta cała tragiczna historia cierpień, samotności i prześladowań, a mimo to ocaleni.

Zupełnie jak w Psalmie 124: *Nasza dusza jak ptak się wyrwała z sidła ptaszników. Sidło się zerwało, a my ocaliliśmy. Wspomożenie nasze w i imieniu PANA, który stworzył niebo i ziemię.* Dusze ocalały pomimo 50-ciu lat ateizacji, ocalały pomimo braku możliwości korzystania z sakramentów świętych i braku kapłanów. Wśród tych ludzi też pojąłem co to znaczy Kościół – to Duch Święty, który „wieje kędy chce” i ożywia wiarę wbrew wszelkim ludzkim przewidywaniom i kalkulacjom. Wiara i wspólnota przetrwała, bo po prostu zbierali się na wspólną modlitwę i wtedy zawsze Pan był z nimi.

Opisywać przeżycia z kazachskiej misji mógłbym jeszcze długo, inny kraj, klimat, kultura i z pewnością to uczynię w kolejnym numerze naszych „Wiadomości Misyjnych”.

Pozdrawiam i życzę wszystkim miłośnikom misji Bożego błogosławieństwa!

Ks. Maciej Mech CM

ZNAKI I CUDA BUDUJĄ WIARĘ

Znaki i cuda budują wiarę, gdyż ukazują inna rzeczywistość niż ta, w której na co dzień się obracamy. W Chinach zdarzało się i ciągle zdarza wiele takich nadprzyrodzonych znaków Bożej wszechmocy i miłości. Tak jak w początkach Kościoła, tak również w naszych czasach Bóg potwierdza głoszenie Dobrej Nowiny cudownymi znakami. Jezus zna bowiem doskonale naszą ludzką naturę i ograniczoność człowieka w kwestiach dotyczących rzeczy niewidzialnych, co wyraził słowami: *Jeżeli znaków i cudów nie zobaczycie, nie uwierzycie*. Dlatego Bóg wspomaga wiarę Kościoła stałą troską i opieką, uwzględniającą również szczególne środki, jakimi są cudowne zdarzenia.

Dwadzieścia lat temu miałem okazję spotkać dwóch Polaków kapłanów ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, którzy w okresie przedwojennym pracowali na misji w Chinach. Po wysłuchaniu ich opowieści największe wrażenie zrobiły na mnie historie opisujące cuda oraz wypędzanie złych duchów. Jedna z tych historii głosi, iż pewnego razu zatroskana „chorobą” swojej córki rodzina chińskich parafian wezwała do swego domu misjonarza-Polaka. Dziewczyna spokojnie „spała” w swoim pokoju dopóki ksiądz nie zaczął zadawać „jej” pytań. Wreszcie odezwała się do niego, stojącego przy jej łóżku, w języku polskim, mimo iż w ogóle się go nie uczyła. Zaskoczenie księdza było tym większe, bowiem zły duch zaczął wyliczać grzechy owego kapłana, jak gdyby chciał mu powiedzieć: *Sam jesteś grzesznikiem, a mnie przyszedłeś wypędzać?* Niemniej, po odprawionych modlitwach egzorcyzmowych zły duch opuścił dziewczynę, która po przebudzeniu się jakby ze snu, nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wydarzyło.

Przyznam się szczerze, że usłyszane opowieści rozpały moją wyobraźnię i przyczyniły się do decyzji wyjazdu do Chin. Kiedy wreszcie się tam znalazłem, można powiedzieć, długo nic nadzwyczajnego się nie działo, za wyjątkiem tego, że to ja zacząłem mówić po chińsku. Po jakimś czasie przyszła wreszcie pora na zwiedzanie różnych zakątków Chin kontynentalnych. W czasie jednego z wyjazdów z grupą

przyjaciół obcokrajowców, natrafiliśmy na bardzo uprzejmego księdza Chińczyka, który na naszą prośbę, od razu zgodził się abyśmy odwiedzili jego małomiasteczkową parafię, w której „wiele ciekawych rzeczy się działo”, te wydarzenia powodowały wiele nawróceń wśród tamtejszej ludności. Następnego dnia około południa dojechalśmy do miasta, w którym mieściła się owa parafia. Ksiądz proboszcz powiedział nam, że kiedy tutaj przybył 4 lata wcześniej zastał tylko 50 katolików, którzy spotykali się w prywatnym domu. W chwili obecnej było tu już 400 parafian, którzy modlili się w kaplicy, byłym prywatnym sklepie przy głównej ulicy, oddanym na cele Kościoła po cudownym uzdrowieniu córki właścicieli sklepu. Oprócz tego, że witano nas z takimi honorami, jakich nie powstydziliby się dostojnicy Watykanu, dziwiło nas również to, że nasza wizyta zorganizowana w ciągu zaledwie jednego dnia, przyciągnęła około setkę parafian w środku zwykłego roboczego dnia.



Najważniejszą częścią spotkania były sprawozdania parafian na temat nadprzyrodzonych znaków i cudów oraz egzorcyzmów. W ciągu ostatnich paru lat nabierało się tych zdarzeń tyle, że sami parafianie powtarzali, iż *po pierwsze Jezus i Maryja, po drugie dzieła miłosierdzia, a po trzecie sam szatan* pomagają im ewangelizować tutejszą ludność. Ze względu na ograniczoną ilość czasu, mogliśmy zapoznać się tylko z niektórymi, zapewne najważniejszymi i potwierdzonymi przez świadków opisami zdarzeń. Pewna osoba opowiedziała nam historię nawrócenia swojej całej rodziny, po tym jak ksiądz proboszcz został wezwany do domu chorej, starszej osoby, jedynej zresztą osoby wierzącej w tej rodzinie. Babcia, nie mogąc o własnych siłach udać się do kościoła, zażądała od syna, aby sprowadził do niej księdza, bo pragnęła przyjąć sakramenty święte. Chińczyk, kierując się raczej posłuszeństwem wobec swej matki niż wiarą, znalazł w końcu czas i przygotował wszystko na odwiedziny kapłana. W mieszkaniu zgromadziło się kilkanaście osób, gdyż przybycie kapłana do chorej staruszki stało się ważnym wydarzeniem rodzinnym. Ksiądz, korzystając z okazji, postanowił w pokoju chorej odprawić mszę św., podczas której parafianka mogłaby przyjąć Najświętszy Sakrament. Podczas konsekracji postaci eucharystycznych kilka osób nagle upadło na kolana, bo jak potem twierdzili, na wysokości Hostii ujrzeni twarz żywego człowieka, to samo powtórzyło się przy konsekracji kielicha z Krwią Chrystusową. Wśród osób, które to widziały był syn chorej i to on nam o wszystkim opowiedział, dodając, że po tym zajściu on sam i siedemnastu jego krewnych przygotowało się i przyjęło chrzest święty.

Pamiętam też inne świadectwo. Tym razem droga do Boga i Kościoła prowadziła bohaterkę historii przez serie walk i pojedynków ze złym duchem. W tym miejscu należy zrobić pewne wyjaśnienie dotyczące kontekstu zdarzenia. Otóż, ponieważ w Chinach powszechny system ubezpieczeń zdrowotnych nie jest jeszcze taki powszechny, a na leczenie w szpitalu przeciętnego Chińczyka po prostu nie stać, więc bardzo popularne w środowisku wiejskim i małomiasteczkowym stały się sekty religijne, obiecujące wspaniałą kondycję zdrowotną, a nawet cudowne uzdrowienia. To właśnie do jednej z takich grup przyłączyła się nasza rozmówczyni, której zdrowie wcale nie było najlepsze,



a ponieważ była już w niemłodym wieku i w dodatku samotna, zdawała sobie sprawę, że z czasem jej sytuacja może się tylko pogarszać.

Skuszona obietnicami zaczęła praktykować ćwiczenia „qi gong”, które z drugiej strony mają w historii Chin bardzo długą tradycję. Szybko zauważyła poprawę swej kondycji zdrowotnej. Efekt był rewelacyjny: potrafiła wejść po schodach do swego mieszkania w bloku, z ciężkimi siatkami w rękach, bez postojów i bez zadyszki, co rzadko jej się dotychczas zdarzało. Pod wpływem tych zaskakujących osiągnięć, postanowiła nie tylko kontynuować zajęcia w sekcji, ale nawet zostać instruktorką tej nowej szkoły „qi gong”. Przyjęto ją natychmiast, bo odznaczała się wielką gorliwością, żyła samotnie i nie miała konkretnej, stałej pracy, mogła więc całkowicie oddać się „wtajemniczeniu”. W krótkim czasie poprawił się nie tylko ogólny stan fizyczny ciała, ale również wzrosły walory psychiczne: wyostrzyła się pamięć, myślenie stało się wyjątkowo jasne, a nawet zdobyła pewne zdolności nadludzkie, jak na przykład trafne przewidywanie przyszłości oraz widzenie rzeczy, których inni nie dostrzegają. Z jednej strony, te

wszystkie zmiany, które w ostatnim okresie zaszły w jej życiu, bardzo ją cieszyły, bo dawały jej poczucie pewności siebie. Z drugiej jednak strony, podświadomie wyczuwała, że coraz bardziej uzależnia się od jakiejś niewidzialnej siły, że staje się niewolniczką czegoś, czego sama nie pojmuje, i to uzależnienie zaczęło budzić w niej strach. O tym jednak nikomu nie mówiła.

Tak minęły miesiące i dopiero wówczas zaczęły się z nią dziać rzeczy straszne, których nie będę jednak opisywał, gdyż wielu mogłoby nie uwierzyć, a wówczas cała ta pouczająca historia wyglądałaby jak jeszcze jedna „bajeczka”. Poprzestanę na tym, jak cała rzecz się zakończyła, bo to tak naprawdę jest najważniejsze. Kiedy owa kobieta była już u kresu sił psychicznych i oczywiście, opuszczona przez członków sekty, którzy prawdopodobnie wzięli ją za osobę chorą psychicznie, zainteresowała się nią jedna z sąsiadek, katoliczka. Mimo, że proponowała jej, aby udała się do kościoła, gdzie kapłan pomoże jej uwolnić się od złych mocy i dręczących wizji, ona absolutnie się nie zgadzała. Pewnego jednak dnia, kiedy opętana Chinka była na zewnątrz, nagle upadła na ziemię i leżała na chodniku nieruchomo. Przechodnie się zebrali, wezwano policjantów, lecz nawet siedmiu mężczyzn nie było w stanie podnieść jej z ziemi, do której była niejako przyklejona. W tym momencie na miejsce zdarzenia przyszła sąsiadka-parafianka, która widząc, co się dzieje natychmiast udała się po księdza proboszcza. Proboszcz zjawił się szybko, bo do kościoła nie było daleko, a kiedy pochylił się nad chorą z krzyżem w dłoni kobieta zaczęła się ruszać, naprężając mięśnie i wykręcając ciało w lewo i w prawo, aż do chwili, gdy się całkowicie uspokoiła. Nie był to jednak ostatni atak złego ducha, który starał się wracać i dręczyć kobietę, lecz od tego momentu ona wiedziała już, kto może jej pomóc i gdzie znajdzie obronę przed mocą złego. W chwili, gdy opowiadała nam swoje przeżycia, a była już po chrzcie św., w jej oczach nadal można było dostrzec lęk, najlepiej świadczący o prawdziwości jej słów.

W momencie, gdy kobieta zakończyła swoje opowiadania, jakby na zawołanie, do naszej sali przyszła inna kobieta, mówiąc, że jej matka jest na zewnątrz i prosząc, aby księża-goście zeszli do niej i pomodlili się nad nią, bo matka nie może wejść do kościoła. Ksiądz proboszcz odpowiedział, aby teraz gościom nie przeszkadzała i żeby

obie zaczęły do czasu, kiedy kapłani będą wychodzić, gdyż właśnie miały rozpocząć się występy młodzieży parafialnej. Gdy zapytałem, kim jest ta kobieta i co dolega jej matce opowiedziano mi, że obie kobiety na widok świętych obrazów, takich jak na przykład znajdują się w kościele, dostają drgawek i nie mogą wejść do wnętrza kościoła. W rzeczy samej, córka miała już egzorcyzm za sobą i została zupełnie uleczona, lecz jej matce jeszcze zdarzało się wpadać w konwulsje i dlatego rzadko przychodziła do kościoła.



Przedstawienie, które nastąpiło, a więc tańce dzieci w tradycyjnych chińskich strojach i recytacje wierszy, wypadły wspaniale, bo każde z dzieci było fachowo przygotowane. Kiedy mieliśmy zasiąść do obfitego poczęstunku (na stole nie było już miejsca, aby dostawiać miski z potrawami, więc stawiano talerze jeden na drugim), córka zwróciła się ponownie z prośbą o modlitwę i błogosławieństwo, bo w czasie występów matkę wprowadzono już do sali, gdzie byliśmy zgromadzeni. Zdecydowaliśmy, aby najstarszy z grupy księży-obcokrajowców, jako najbardziej doświadczony, pomodlił się nad chorą kobietą. Zauważyłem, że matka była bardzo niespokojna i rzeczywiście od czasu do czasu fale drgawek przebiegały jej ciało. Ksiądz, z pochodzenia Irlandczyk, położył swoje dłonie na jej głowie i modlił się półgłosem. Na koniec modlitwy pobłogosławił ją, a za nim uczynili to pozostali kapłani. Córka była bardzo wdzięczna i powiedziała, że obecnie jest już znacznie lepiej niż kiedyś, bo dzisiaj na przykład udało im się przejść przez kościół, aby dostać się do sali parafialnej.

Dla pełności opisu naszych odwiedzin w tej szczególnej parafii, muszę uzupełnić obraz jeszcze innym tematem, który także został poruszony w czasie spotkania z katolikami. Jak już wcześniej wspominałem, parafianie często zaznaczali, że ewangelizacja dokonuje się za pomocą trzech elementów: *Po pierwsze Jezusa i Maryi, po drugie dzieł miłosierdzia, a po trzecie samego szatana.* Podąłem już przykład objawień Pana Jezusa, mówiłem też o tym, jak szatan, choć mimowolnie, powoduje zwrot ludzi ku Bogu, lecz nic jeszcze nie wspo-

mniałem o dziełach miłosierdzia, które także budują wspólnotę wierzących. Jak się później okazało w trakcie odwiedzin także w innych parafiach, to właśnie ta metoda jest najpopularniejszym sposobem zjednywania sobie przychylności niewierzących i otwierania ich serc na łaskę Jezusa. Metoda jest bardzo prosta, a zarazem dostępna dla każdego i dla każdej wspólnoty. Parafianie tworzą grupy charytatywne oraz wspólny fundusz z własnych składek. Ponieważ wielu Chińczyków, mieszkających na prowincji to ludzie ubodzy, nie są oni w stanie poradzić sobie w ciężkich doświadczeniach losowych, takich jak choroba lub śmierć kogoś bliskiego, samotność, starość czy jakakolwiek większa szkoda materialna.

Katolicy zawiązują grupę wolontariuszy, którzy śpieszą z pomocą wszystkim tym, których dotknęła tragedia rodzinna i znikąd nie mają wsparcia. Bardzo często pomoc duchowa, psychiczna okazuje się o wiele ważniejsza niż niewielka, jak możemy się domyślać, pomoc materialna. W ten jednak sposób bardzo efektywnie pomaga się rodzinom, które nie mają funduszy na pochowanie np. własnych rodziców, lub na wykupienie przepisanych lekarstw. Chińczycy są ludźmi bardzo wrażliwymi na wyświadczone dobrodziejstwa i bardzo wdzięcznymi za udzieloną pomoc, więc z reguły odwdzięczają się za dobro najlepiej jak tylko potrafią. W wypadkach, kiedy ani ich bliscy się nie sprzeciwiają ani nie ma uprzedzeń, które blokują zakorzenienie się wiary, przyjaźń pomiędzy parafianami, a niewierzącymi często kończy się przyjęciem chrztu św. i wstąpieniem do wspólnoty kościelnej. W każdym jednak przypadku dobro okazane innym przynosi błogosławiony owoc, w takiej lub innej formie i we właściwym sobie czasie.

Pora już zrobić jakieś podsumowanie tego, co zostało powiedziane. Historie o pojedynczych uzdrowieniach chorych i opętanych słyszałem z ust Chińczyków już wcześniej, ale to, czego byłem świadkiem w tym jednym mieście przerosło moje najśmielsze wyobrażenia. Przywołując sobie na myśl opowiadania Ewangelii o Jezusie wyrzucającym złe duchy, myślę, że Jezus oraz Kościół przez Niego założony rzeczywiście służył i służy, jako *miotła do wymiatania zła z tego świata*. Co by się dzisiaj działo, jeśli przez ostatnie 2000 lat nie działałaby w świecie moc Chrystusowa? Jak wyglądałby współczesny świat? Wierzę, że po 20 wiekach działalności Kościoła „niepozamiatanych”

miejsc jest na świecie coraz mniej, mimo iż zapewne przybywają wciąż nowe problemy, a zło także wykorzystuje nowe sposoby i środki do oddziaływania na nas, współczesnych ludzi. Po drugie, dzisiaj rzadko stajemy oko w oko ze złym duchem lub widzimy z bliska jego niszczycielskie dzieła, co być może sprawia, iż opisane przed chwilą historie dla wielu mogą tchnąć posmakiem archaicznych przeżyć czy zabobonów.

Jak wspomniałem, niech właśnie za to będą Bogu dzięki! Szatan też się czegoś nauczył, zapewne nie na rękę mu jest pomaganie, choćby mimowolnie, w ewangelizacji, jak to ujęli parafianie w swoich wypowiedziach, potwierdzających, że człowiek raz poznawszy prawdziwe oblicze złego ducha, ucieka od niego i chroni się przed nim u miłosiernego Pana Boga. Mimo że temat diabłów, szatanów i złych duchów zawsze był i będzie bardzo elektryzujący, prawdziwa odpowiedź na to zagadnienie pozostaje tylko jedna i od wieków niezmienna: *Przybliżcie się do Boga, a zły duch od was ucieknie.*

Szczerze mówiąc nie tak chciałbym zakończyć moje pisanie, bo czuję, że coś ważnego nie zostało jeszcze powiedziane. Powrócę więc znów do słów Jezusa: *Jeżeli znaków i cudów nie zobaczycie, nie uwierzycie.* Czy w gruncie rzeczy nie brzmią one jak wyrzut? Ludzie małej wiary proszą o cuda i znaki, natomiast *błogosławieni są ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli.* Jeśli taka jest logika Jezusa, to nic dziwnego, że na kartach Nowego Testamentu po okresie Ewangelii, cudów zdarza się coraz mniej, choć opisy takich wspaniałych wydarzeń są jeszcze odnotowywane w Dziejach Apostolskich. W listach św. Pawła znajdujemy już rzeczywistą ocenę wartości cudów w ich relacji do zbawienia: *Gdybym (...) posiadał wszelką możliwą wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym.*

Wierzę więc, że w owej parafii w Północnych Chinach, cudowne zdarzenia, objawienia, uzdrowienia i egzorcyzmy wkrótce się skończą, jeśli już się nie skończyły. A co zostanie? Zostanie wspólnota świadków Chrystusa, żyjąca wiarą w Zmartwychwstałego, na co dzień praktykująca miłość miłosierną, bo: *Wszystko przemienie, lecz miłość nigdy nie ustaje, (...) a z wszystkiego co jest, miłość jest największa.*

Napisane w 2006 r.

Stanisław F.

NOC PASCHALNA

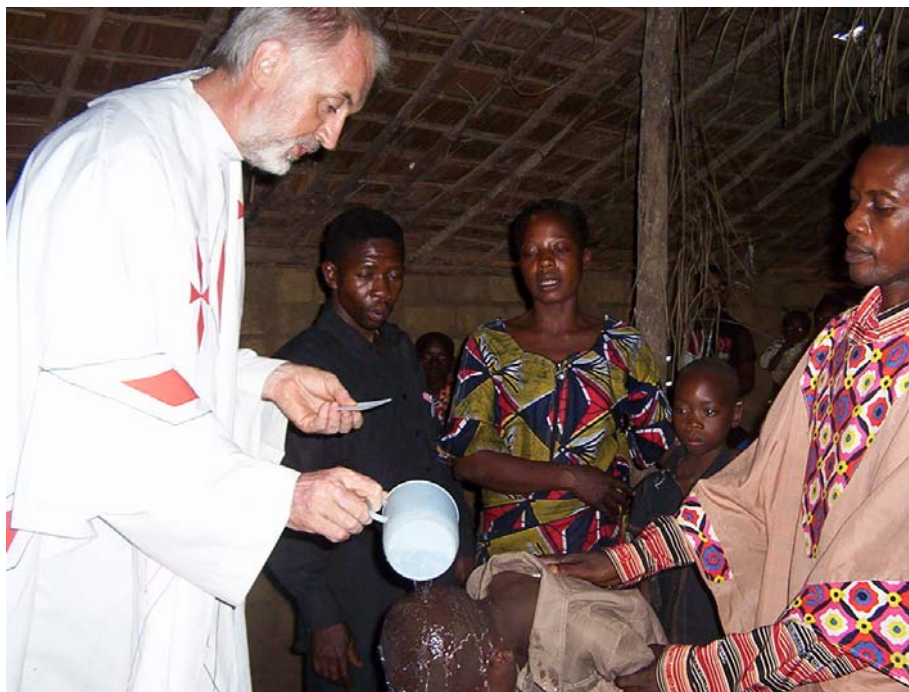
Święta Wielkanocne, które przeżywałem w Kongo miały zawsze szczególny charakter. Kongijczycy nazywają Wielkanoc *Mama wa biyenga* – dosłownie: *Matka wszystkich święt.* Mała liczba kapłanów w porównaniu z licznymi wspólnotami chrześcijańskimi, które oczekiwały przybycia do nich kapłana na te największe święta, sprawiała, że każdy kapłan przewodniczył wszystkim ceremoniom Tridum Paschalnego.



Noc Paschalna dostarcza wyjątkowych przeżyć. W czasie liturgii udziela się dorosłym sakramentów świętych: chrztu i Eucharystii oraz przyjmuje się do Kościoła katolickiego chrześcijan innych wyznań. Przez dorosłych rozumie się tych, którzy sami podjęli decyzję zostania chrześcijanami i poprosili o chrzest. Mogą nimi być dzieci w wieku 12-16 lat i całkiem dorośli. Nieważne, że liturgia trwa od godz. 18.00 do 22.00, a czasem nawet dłużej. Bywało, że w Noc Paschalną chrzcilem tylko 30 osób, a innym razem chrzcilem ich aż 90. Dla tych, którzy przyjmują chrzest święty jest to dzień niezwykły. Przez dwa lata katechumenatu poznawali wiarę chrześcijańską, aby teraz w obecności swoich bliskich i całej wspólnoty wyznać swoją wiarę i z rąk kapłana przyjmując sakrament, który uczyni z nich dzieci Boga i włączy w jedną wielką rodzinę Bożą. Przynależność do rodziny jest dla Afrykańczyka wielką tajemnicą, można powiedzieć świętością. Kościół też jest rodziną.

Rodzina Boża. Takie przedstawienie tajemnicy Kościoła przemawia przekonująco do Afrykańczyka. Taki właśnie sposób przedstawiania Kościoła obrali biskupi wraz z papieżem podczas pierwszego Synodu Biskupów dla Afryki. Dwa lata katechumeni ucześnie

na katechezę i modlitwy wspólnoty chrześcijańskiej, a także brali aktywny udział w życiu wspólnoty. Na zakończenie musieli przejść egzamin przed kapłanem. Na egzamin przychodzą wszyscy chętni, aby oklaskami wyrazić radość, gdy egzamin wypadnie pomyślnie, albo wydać westchnienie żalu, gdy zapadnie decyzja, że kandydat na chrześcijanina nie jest jeszcze należycie przygotowany. Kilka tygodni przed ceremonią chrztu rozpoczynają się intensywne przygotowania śpiewów, czytań, tańców, próby samej ceremonii, a także przygotowanie uroczystego posiłku. O wyznaczonej porze wszyscy czekają u wejścia do kościoła, następuje sprawdzenie obecności, dialog kapłana z katechumenami, po czym rozpoczyna się liturgia Wielkiej Nocy. W procesji uczestniczą ci, którzy tej nocy staną się prawdziwymi chrześcijanami i po raz pierwszy będą w pełni uczestniczyć w Liturgii Eucharystycznej przyjmując po raz pierwszy Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Dla misjonarza jest to jedna z najszczęśliwszych chwil. W czasie takiej ceremonii serce przepęlnia radość, w zapomnienie



idzie zmęczenie, do Boga wznosi się pieśń uwielbienia i wdzięczności za możliwość przeżycia takiej chwili.

Po Wielkanocy misjonarz zabiera się do wpisania wszystkich ochrzczonych do ksiąg parafialnych i wypisuje każdemu ochrzczoneму „kartę chrztu”. „Karta chrztu” to dokument potwierdzający przyjęcie sakramentów, na którym jako pierwszy widnieje wpis sakramentu chrztu św., następnie jest miejsce na wpisanie Pierwszej Komunii Świętej, bierzmowania i sakramentu małżeństwa. Przy wypełnianiu tego administracyjnego obowiązku przeżywana niedawno radość i pamięć o przepięknej uroczystości ustępuje głębokiemu zatroskaniu. Patrząc na puste miejsca w „karcie chrztu” przychodzi refleksja: czy miejsca przeznaczone do wpisania sakramentu bierzmowania i małżeństwa będą kiedykolwiek wypełnione? Ile razy ochrzczona osoba przystąpi po chrzcie do sakramentu pokuty i przyjmie Najświętszy Sakrament? Pytania te rodzą się zwłaszcza w odniesieniu do osób płci żeńskiej. Dlaczego?

Kongijska dziewczyna wychodzi za mąż dość wcześnie, bo w wieku 15-19 lat. Sakrament małżeństwa musi być poprzedzony zawarciem małżeństwa tradycyjnego według zwyczajów przodków. Małżeństwo tradycyjne zawierane jest etapami i trzeba często kilka, a nawet kilkanaście lat, aby zostało dopełnione. Sprawia to, że żyjąc w małżeństwie tradycyjnym, w świetle prawa kanonicznego małżonkowie ci żyją w konkubinacie. Muszą więc przerwać przystępowanie do sakramentu pokuty i Eucharystii do czasu, aż połączą się sakramentalnym związkiem małżeńskim. Wychodząc za mąż, dziewczyna nigdy nie ma pewności, czy kiedykolwiek będzie jeszcze przystępowała do spowiedzi i komunii świętej. Jeżeli ma to szczęście, że jej mąż jest gorliwym i przekonanym chrześcijaninem po kilku latach zawrą sakrament małżeństwa i będzie w pełni korzystać z życia sakramentalnego. Jeżeli jednak w czasie oczekiwania na zawarcie sakramentu małżeństwa jej mąż weźmie sobie inną kobietę, jako drugą żonę i według zwyczajów będą ważnym małżeństwem, nie będzie już mowy o powrocie do sakramentu pokuty i Eucharystii, tak długo jak długo trwa poligamiczny związek. To jeszcze nie koniec problemu.

W społeczności afrykańskiej młoda dziewczyna nie zawsze ma decydujący głos, gdy chodzi o wybór męża. Bywa tak, że dokonuje

tego rodzina. Jeżeli rodzina oddaje swoją córkę, siostrę, jako drugą czy trzecią żonę, czyli jeżeli dziewczyna staje się żoną poligama, już od samego początku wie, że zamążpójście oznacza dla niej zerwanie z życiem sakramentalnym tak długo, jak będzie pozostawać w małżeństwie poligamicznym.

Wypisując „karty chrztu” misjonarz stawia sobie więc pytania, na które nie potrafi odpowiedzieć: Czy ta młoda dziewczyna nie jest traktowana niesprawiedliwie? Co może uczynić, aby małżeństwo nie zamykało jej drogi do sakramentów świętych? Czy w chwili, kiedy jej mąż zawiera związek małżeński jednocześnie z inną kobietą, aby móc przystępować do sakramentów świętych, powinna opuścić męża, dzieci, zostać sama? Dziewczyna, która wychodzi za mężczyznę, który posiada już inną żonę jest w jakimś stopniu sama odpowiedzialna za to, że pozbawia się na długi czas, a może na zawsze sakramentów świętych, ale jeżeli zmuszają ją do tego warunki materialne czy układy rodzinne, co ma uczynić? Co odpowiedzieć tej kobiecie, która pyta: *Proszę księdza misjonarza dlaczego nie mogę przyjmować Komunii świętej?*

Ks. Stanisław Deszcz CM



TYLKO BÓG I ONA

Czyż może niewiasta zapomnieć o swoim niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie. (Iz 49, 15)

Zrobiło się już szaro. Słońce wyznaczało koniec kolejnego dnia. Ale był to jeszcze dobry okres w stolicy Haiti, Port-au-Price, bo lampy uliczne świeciły do późna w nocy. Uczciwie trzeba powiedzieć w tym miejscu, że fakt obecności domu-rezydencji prezydenta kraju Jean Bertranda Aristida czyniła naszą dzielnicę uprzywilejowaną przynajmniej pod względem dostaw prądu. W innych częściach stolicy radzono sobie przy pomocy agregatów – w najlepszym przypadku, albo lamp naftowych własnej produkcji z puszek po konserwach – w gorszej sytuacji materialnej. Szczególne wrażenie robiły one wieczorami rozstawione po kramach i kramikach wzdłuż ulicy, jakby świetliki miały swój okres godowy.

Ale nie o światłach, czy energetyce chciałbym opowiedzieć. Bardzo często po zapadnięciu zmierzchu przychodziły do parafii osoby z naszej dzielnicy Fleriot. Dlaczego pod osłoną nocy? Powodów było wiele, ale najczęstszy to strach bycia zauważonym przez innych.

Tego wieczoru pojawiła się po raz pierwszy. Widywałem ją wcześniej, kiedy przychodziła na poranne niedzielne msze św. odprowadzane w języku kreolskim.

Kaplica zawsze była za mała, aby pomieścić wszystkich. Budujący może nie zdawali sobie sprawy, że dla wielu stanie się to ulubione miejsce spotkania z Bogiem. Sama obecność pięknej figury Matki Bożej od Cudownego Medalika jak magnes przyciągała całymi dniami wielu poszukujących Bożej interwencji przez wstawiennictwo Tej wyjątkowej Matki. Aby dać możliwość uczestniczenia we mszy św. cały plac wokół kaplicy był nagłośniony. Ludzie siadali albo na naszych parafialnych krzeselkach, albo na przyniesionej przez parafian

skrzynce plastikowej, która później służyła za stragan w handlu ulicznym przez cały dzień, albo tak po prostu, stali oparci o parafialny mur.

Miała o co prosić Boga, ale stawała z daleka, gdzieś przy bramie wjazdowej na placu. To nie był jeszcze ten czas, kiedy będzie jako pierwsza przy otwarciu parafialnej bramy, aby nikt nie zajął jej miejsca w kaplicy blisko figury – „jej Matki” – jak często powtarzała.

Przyszła tej nocy zapłakana. Potrzebowała pomocy, bo serce wyło z bólu. Usiedliśmy na „ganeczku” czyli zadaszonym miejscu przed wejściem na plebanię. Z dala słychać było szum ruchliwej ulicy i targujących się przechodniów z ulicznymi handlarkami, które swoje towary miały rozłożone na płachtach, albo kartonach leżących bezpośrednio na chodniku. Niekiedy były to 1,5 metrowe wory z węglem drzewnym, bo tylko taki opał używany jest przez większość populacji do przygotowania przynajmniej jednego posiłku dziennie. A niekiedy były to wiadra plastikowe z wodą, która dla wielu była trudno dostępna.

Dostała w darze od Boga tylko synów (już nie pamiętam czy było ich pięcioro, czy czworo). Po urodzeniu najmłodszego niedługo umarł mąż. I tę część opowiadania zawsze nazywałem fenomenem cudu życia na Haiti. Jak to jest możliwe? Samotna matka, bez zawodu, bez pracy, z kilkorgiem dzieci na utrzymaniu, każdego dnia znajdowała kilka gurdów (oficjalna haitańska jednostka monetarna), aby przygotować chociaż jeden posiłek dziennie. Jedynie Bóg zna odpowiedź.

Trzeba było dokonać wyboru. Jak zresztą w większości haitańskich rodzin. Spośród swojej „gromadki” jednego wysłała do szkoły. Był najsprytniejszy. Inteligentny bystrzak. A resztę chłopaków goniła, jak tylko była możliwość, do pracy, żeby całymi dniami nie włóczyli się między straganami i kradli. Wszyscy akceptowali ten „sposób na życie” wyznaczony przez matkę. „Wybraniec” po ukończeniu szkoły średniej przy pomocy dalszej rodziny i znajomych wyjechał do Kanady. Matka myślała, że z radości wyskoczy jej serce. Pojawiła się nadzieja na lepsze jutro dla całej ich gromadki. Każdy list syna z Kanady był oczekiwany jak coś wyjątkowego. Inteligencja i determinacja otworzyły mu drzwi do spełnienia marzeń. Poszedł na studia prawnicze. Zaczęto odliczać lata, potem miesiące, aż wreszcie dni do uzyskania dyplomu. Nowo „upieczony” prawnik pamiętał o nich. Chociaż nie

było go stać na wiele, to wysyłał im małe kwoty kanadyjskich dolarów, które przy haitańskiej inflacji i biedzie, stawały się skarbem. Świat zaczął się do nich uśmiechać. Mogli sobie pozwolić na rzeczy, o których kiedyś tylko marzyli, które wydawały się dla nich nieosiągalne.

W tym momencie wybuchła płaczem. Byłem zdezorientowany. O co chodzi? Historia staje się coraz bardziej optymistyczna. Dlaczego ten płacz? Gdy mogła znów mówić, jakby trochę przyciszonym głosem, jakby z nutą wstydu podjęła dalszą historię. Jeden z synów wymknął się spod matczynej kontroli i poszedł złą drogą. Nawet nie wie kiedy to się stało. To musiało być wtedy, kiedy zaczął znikać na całe noce. Ale zawsze wracał. Zauważyła, że stawał się coraz bardziej nerwowo. I najbardziej zaczęły ją niepokoić te wybuchy agresji. Dobrze, że byli inni chłopcy w domu, z nimi czuła się bezpieczniejsza. Zawsze ją obronili, żeby jej nie uderzył. Ktoś ze znajomych podpowiedział, że może to być od narkotyków. Handel narkotykami to najszybsza droga na duże i szybkie pieniądze. Przemysł z Kolumbii do USA kwitł jak magnolia na wiosnę. Ona nie wiedziała jak mu pomóc. Gdy w wybuchach gniewu stawał się bardzo niebezpieczny zakuwano go w łańcuch jak galerników w XVII wieku we Francji i umieszczano za domem, w pomieszczeniu ze zwierzętami. Kiedyś poprosiła mnie, abym go odwiedził. Pomodlił się z nim i za niego. Widok był przykry. Skulony na pryczy, łańcuchy na nogach i rękach, twarz zmęczonego życiem człowieka.

Tego dnia oczekiwała jak przyjścia Mesjasza. Przygotowali się, żeby jak najlepiej przyjąć oczekiwanego gościa. Po tylu długich latach przyjechał. Nie zapomniał. Nie wstydził się. Gdy pojawił się w domu wszyscy go dotykali, jakby nie dowierzali, że faktycznie jest z nimi. To nie zjawą. Nie siedzieli w domu, bo kto by pomieścił tych wszystkich, którzy go chcieli zobaczyć, usłyszeć jego głos. Człowieka, który żyje w innym świecie. Dla wielu z nich to „ziemia obiecana”, tylko dla nielicznych osiągalna. Opowiadania, wspomnień nie było końca.

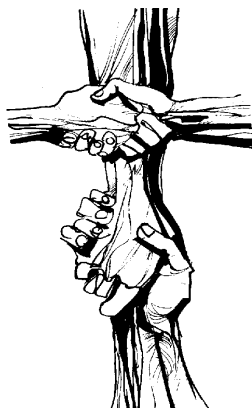
Ku memu zaskoczeniu w tym momencie opowiadania matka nagle upadła na ziemię. Leży skulona jak zbity pies i spazmatycznie płacze. Nie wiem co robić. Czy biec po pomoc? Jakich użyć słów? Powoli, jak po burzy, przychodzi spokój. Dotykam ramienia, podaję dłoń i pomagam znowu usiąść. Gdy oddech wrócił do normy, chociaż łzy ciekną koleinami zmarszczek, to stłumionym głosem opowiada dalej.

Na drugi dzień pobytu „Kanadyjczyka”, bo tak go żartobliwie nazywali, pragnęli pozostać w swoim rodzinnym gronie. Trzeba było wspólnie podjąć kilka decyzji co do przyszłości. Zasiadli do stołu. Był ryż z grzybami i mięso z kozy, no i oczywiście schłodzone piwo haitańskie „Prestige”. Matka nieśmiało zaproponowała, żeby przyprowadzić skutego łańcuchami syna. Niech będzie razem z nimi. Na początku pomysłała dobry pomysł. Wyraz jego twarzy zmienił się pozytywnie. W jej głowie przebiegały obrazy z dawnych lat, kiedy siadali za tym stołem i z niepokojem pytali się: *Co będzie jutro?* A ona starając się uchronić ich przed beznadzieją, zawsze powtarzała: *Bóg o nas nie zapomni*. I prorocze słowa matki posuwały kolejny dzień do przodu. Dzisiaj role się zmieniły. „Kanadyjczyk” przejął pozycje programisty rodzinnej historii. I tego nie wie nikt, dlaczego, „chory” brat w pewnym momencie w błyskawicznym ruchu chwycił leżące na maszynie do szycia nożyczki i wbił w klatkę piersiową „Kanadyjczyka”. Wycelował idealnie, to było serce. W tej chwili zakrólowała: ŚMIERĆ.



I w tym miejscu można byłoby zakończyć tę dramatyczną historię. Matka podziękowała mi za poświęcony czas. Ja szukałem najstosowniejsze grzecznościowe słowo na pożegnanie, ale bezskutecznie. Jedynie przyszło mi na myśl matczyne powiedzenie: *Bóg o nas nie zapomni*. Jednak historia się nie skończyła. Za jakiś czas. Nie pamiętam jak długo po tym spotkaniu przy otwieraniu bramy na niedzielną mszę św. zobaczyłem ją. Odświętnie ubraną, bez dramatu na twarzy, jakby opisana historia nigdy w jej życiu nie miała miejsca. Co więcej nie była sama. Lekko zgarbiony, o zmęczonej twarzy, w białej koszuli, w krawacie o ciemnych kolorach, stał przy niej młody mężczyzna. Nie pytałem kto to jest, rozpoznałem widzianego kiedyś, skutego łańcuchami chłopaka. Poprosiła mnie, abyśmy poszli razem do kaplicy. Nie dyskutowałem, czuło się po kościach, że jest to bardzo ważna chwila. Gdy stanęliśmy przed ołtarzem, padła komenda: *Kłęknij przed kapłanem i proś Boga o wybaczenie!* Potok łez. Płakał w skrusze ten młody człowiek. Płakała ona ze szczęścia dokonania czegoś wyjątkowego w swoim życiu. Płakałem ja widząc siłę Bożej miłości.

I kiedy ucichły słowa: *I ja odpuszczam Tobie grzechy. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego*. Usłyszałem szybkie wyjaśnienie tego zajścia, ponieważ inni parafianie zaczęli wypełniać kaplicę.



Po zabójstwie brata w przerażeniu swojego czynu uciekł. Szukano go wraz z policją kilka dni. Znalaziono na wysypisku śmieci poza miastem. Bez jakiegokolwiek sądu i wyroku zamknięto go w więzieniu. I tam dogorywałby jak wielu takich jak on. Śmierć głodowa czyściła poszczególne cele z „chorych elementów społeczeństwa”. Ale ona – matka – postanowiła go uratować. Zadłużyła się, żeby zebrać odpowiednią sumę pieniędzy na wykup. Przygarnęła pod swój dach. Logiki tego nie zrozumie nikt. Tylko Bóg i ona.

Ks. Jarosław Lawrenz CM

OBRAZY NOSZONE W PAMIĘCI

Od wtorku wieczorem, 12 stycznia 2010 r., świat spojrział na Haiti, państwo w zachodniej części wyspy o tej samej nazwie, od ponad 200 lat cieszące się niepodległością, a jednocześnie najbiedniejsze w tej części świata, targane i niszczone nieustannymi walkami, rewolucjami, wojnami domowymi i dyktaturami. Do tego wszystkiego przyłączyła się natura. Kilkadziesiąt sekund. Ziemia zadrżała, zatrzęsa się. Stolica kraju, Port-au-Prince, zamieniła się w ruinę. Nie ma prądu, nie ma wody, zawalił się największy szpital w mieście. W gruzach legł budynek ONZ, w którym swoje siedziby miały liczne organizacje charytatywne. Pracowały tu także Siostry Miłosierdzia. One doświadczyły skutków największego w historii kraju trzęsienia ziemi najbardziej – Dom Prowincjalny zawalił się. W pierwszych godzinach po tragedii nie wiedzieliśmy co się z nimi dzieje. Nie działają telefony, nie ma prądu. Pierwsze wiadomości nie były dobre, podobno niektóre siostry są ranne. Ale jak bardzo? Ile? W innej wspólnotce, w słynnej dzielnicy nędzy Cité Soleil, dwie siostry przebywając poza domem przez noc nie wróciły do wspólnoty. Pozostaje nadzieja, że to tylko kwestia czasu, trudności z dotarciem do domu...

W takim momencie ludzka pamięć przywołuje liczne obrazy z miejsc, które teraz są gruzowiskiem. Jednym z tych obrazów to wizyta w Haiti dwa tygodnie po wielkich powodziach w 2007 r. Okrężną drogą wjeżdżałem do zalanego miasta Gonâives. Przedemną ukazała się panorama miasta, a na tle ogołoconych, wyschniętych zboczy krążył helikopter. Towarzyszącym mi siostrą powiedziałem, że podobne „ujęcie” przed wieloma laty widziałem we wstrząsającym filmie „Czas Apokalipsy”. Jechaliśmy przez miasto zalane błotem. Buldożery ONZ torowały przejazd ulicami.

W miejscowej katedrze, na ambonie jakaś kobieta gotowała na węglach posiłek. Obok skauci próbowali wywozić taczka około 30 cm warstwę błota. Chcieliśmy dostać się do siedziby biskupa. W tym celu należało przejść przez zalany wodą dziedziniec. Niektóre siostry nie zdecydowały się na pokonanie tej przeszkody.



Ruiny katedry w Port-au-Prince, Haiti po trzesieniu ziemi.
Przed katedrą ocalał nietknięty krzyż

W drodze powrotnej do domu sióstr tego, co wtedy zobaczyłem, do dziś nie mogę zapomnieć. Na ogromnej stercie błota zmieszanego ze szmatami i plastikowymi butelkami w najlepsze funkcjonował zakład fryzjerski. Dobry, profesjonalny fotel, miniaturowy generator prądu, fryzjer. Przejeżdżaliśmy pięć metrów obok. Z włączonego radia słychać było muzykę. Kawalek dalej grupka uśmiechniętych, rozbawionych dzieci bawiła się zjeżdżając z podobnej do tamtej hałdy błota. Do miasta-widma wracało życie.

Ktoś zapyta pewnie, co ten obraz ma wspólnego z przeżywaną w tych dniach tragedią trzęsienia ziemi? Jeżeli nie dziś, to jutro, na kupach gruzu, na resztkach zawalonych domów dzieci bawić się będą w chowanego. Fryzjerzy, jeżeli nie zginęli w trzęsieniu ziemi, będą strzygli na ulicach.

I to podziwiam – siłę życia i wolę walki, bez wielkich projektów, skomplikowanych planów, bez niekończących się pytań dlaczego? Ci co przeżyli pogrzebią umarłych. Światowe media „przekują” tragedie tych ludzi na tysiące reportaży, projektów, analiz czy prognoz. A tymczasem dzisiaj rano, w piątek, z naszego domu w San Juan (Portoryko) odleciały do Port-au-Prince siostry, które dopiero co tydzień temu przybyły tutaj na leczenie. Jedna z nich miała poddać się operacji. Nie zrobiła tego. Wróciła do pracy w Haiti.

To szaleństwo, pomyślałem. Z pewnością. Ale czy bez szaleństwa, choćby odrobiny, można pomagać innym? Można, ale tylko szaleńcy, Szaleńcy Boży mogą zmienić świat. Jedno, nawet tak potężne trzęsienie ziemi jak to w Port-au-Prince nie wystarczy. Trzeba drugiego, może nawet trzeciego trzęsienia uspiętego sumienia, aby los ubogich i opuszczonych zainteresował kogokolwiek bez ukrytego interesu, bez blasku fleszy, świateł i kamer telewizyjnych, nie tylko wtedy, gdy nędzę pokazują światowe telewizje, ale także i przede wszystkim dlatego, że nasz bliźni ma mniej niż my.

Styczeń 2010 r.

Ks. Stanisław Szczepanik CM

WSPÓLNOTA PRZYJACIÓŁ MISJI BROOKLYN-NOWY YORK, USA

NIESPODZIEWANA WIZYTA

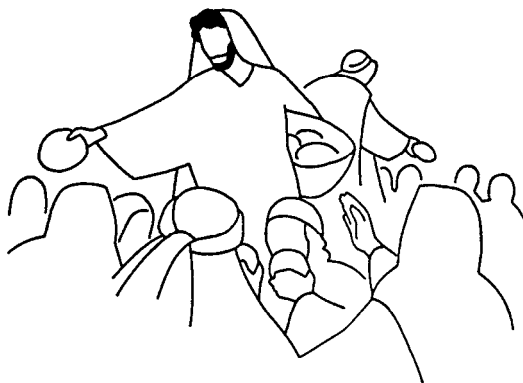
Nie zawsze jest okazja spotkać się w naszej Wspólnocie Przyjaciół Misji z misjonarzami, czy misjonarkami, którym pomagamy. Kiedy jadą na zasłużony wypoczynek po latach pracy na misji, to pierwsze kroki kierują do Polski, żeby spotkać się ze stęsknionymi za nimi rodzinami. W historii naszej Wspólnoty mieliśmy okazję spotkać się z misjonarzami pracującymi na Białorusi i Chinach, kiedy głosili dla naszej wspólnoty parafialnej rekolekcje.

Jednak spotkanie z siostrą Rafaelą ze Zgromadzenia św. Elżbiety (elżbietanka) było niespodziewane, a jakże ubogacające naszą misję. Siostra Rafaela pracowała w jerozolimskim sierocińcu w Izraelu. Znajomość z nią rozpoczęła się bardzo przypadkowo. Gdy członkinie naszej wspólnoty były na pielgrzymce w Ziemi Świętej, przewodnik pokazał im dom prowadzony przez polskie siostry. Po powrocie do Nowego Jorku, na pierwszym spotkaniu, opowiedziały nam o tej wspaniałej posłudze dla osieroconych dzieci. Przy pierwszej okazji naszych możliwości wysłaliśmy pomoc. Ale Bóg miał swoje plany. Przy okazji kolejnej pielgrzymki śladami Jezusa, przygotowaliśmy kolejną pomoc i poprosiliśmy o osobiste przekazanie siostrze wiadomości o naszej pamięci w modlitwie. Nasze członkinie będąc w Jerozolimie „sterroryzowały” kierowcę autokaru i uczestników tej pielgrzymki, aby koniecznie odwiedzić polskie siostry. Dla wszystkich był to wzruszający moment, a pielgrzymi uświadomili sobie o kontynuacji misji Jezusa.

Pewnego wrześniowego dnia w naszej kancelarii pojawiła się siostra zakonna szukająca ks. Jarka. Okazało się, że była to właśnie siostra Rafaela, która przyjechała odwiedzić sponsorów ich misji. Jak się

później okazało, było to związane z otwarciem nowej placówki, tym razem w Betlejem. Bardzo szybko wieść rozeszła się po uczestnikach naszych misyjnych spotkań. Zaplanowaliśmy przyjacielską gościnę na poniedziałek po mszy św. z nowenną do Matki Bożej od Cudownego Medalika. Przyszła spora grupa, jak na dzień pracy.

Opowiadaniom, wspomnieniom i wdzięczności nie było końca. Kolejny raz przekonaliśmy się o mocy łaski Bożej w działalności misyjnej, wyprasanej przez tych na „drugim froncie”. Umocniło to w nas gorliwość w naszej posłudze i odpowiedzialności za Kościół misyjny. Siostra obdarowała nas jerozolimskimi krzyżykami oraz obrazkami z płatkami kwiatów z Ziemi Świętej. A my przygotowaliśmy kolejny „zastrzyk finansowy” na dalszą posługę misyjną.



WIGILIJNE SPOTKANIE WSPÓLNOTY PRZYJACIÓŁ MISJI

Tradycyjny „opłatek” w dniu 27 grudnia 2009 r., przy parafii św. Stanisława Kostki, rozpoczęliśmy fragmentem z Ewangelii św. Łukasza: *Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie* (Łk 2, 6-7).

Uroczyste spotkanie odbyło się w Oktawę Bożego Narodzenia, w tę niedzielę wspominaliśmy w sposób szczególny Świętą Rodzinę. My także tworzymy rodzinę i staramy się kierować Bożymi zasadami

życzliwości i miłości. Miłość i pokora to podstawa naszej wszelkiej działalności. Szczególnie wyraża się to w pragnieniu pomocy i wspierania misjonarzy i misjonek oraz wiernych świeckich.

Takim ludzkim potwierdzeniem naszej właściwej drogi są liczne podziękowania, które otrzymujemy. Przy okazji naszego opłatkowego spotkania czytaliśmy wraz z ks. Januszem Pulitem z Białorusi podziękowania i życzenia od parafian. Od ks. Rafała Brukarczyka z Hondurasu pełne Bożej nadziei na lepszy Nowy 2010 Rok. Serdeczne pozdrowienia i podziękowania od ks. Józefa Klatki z Madagaskaru, który pisał: *Podziękowanie proszę przyjąć za ofiarę miłości w postudze dla ludu. Bo miłość jest najdoskonalszą drogą, która najpewniej prowadzi do Boga.*

Bożonarodzeniowy klimat podkreślało dzielenie się opłatkiem i wspaniałe potrawy wigilijne przygotowane przez uczestniczki. Na to wyjątkowe spotkanie zostali zaproszeni wszyscy księża pracujący przy naszej parafii. Ks. Jarosław spotkanie rozpoczął odśpiewaniem kolędy, życzeniami oraz wyrazami wdzięczności za poświęcenie i gromadzenie funduszy na rzecz misji, poprzez sprzedaż kartek świątecznych i stroików na Boże Narodzenie.

Następnie wręczono kwiaty i prezenty ks. Janowi Szylarowi, który obchodził w tym czasie imieniny, a wdzięczni mu jesteśmy za założenie tej wspólnoty.

Bardzo mile została przyjęta loteria, która sprawiła wiele radości i emocji, ale przede wszystkim zasiłiła budżet misyjny. Po rozdaniu fantów odśpiewaliśmy kolędy i zakończyliśmy modlitwą i błogosławieństwem.



«Bóg powołuje nas jako narzędzie swojej ojcowskiej miłości. Nasze powołanie nie polega na gotowości pójścia do jednej parafii czy diecezji, ale do gotowości pójścia na całą ziemię. Po co mamy tam iść? Aby ogarnąć serca wszystkich ludzi miłością Chrystusa, który przyszedł ogień rzucić na ziemię i pragnie, aby on już zapłonął. Jesteśmy powołani nie tylko po to abyśmy kochali Boga, lecz byśmy innych uczyli Go kochać. Nie wystarczy, że sam kocham Boga, jeżeli nie kocha Go mój bliźni. Bóg powołał nas, abyśmy wzniecali Jego miłość wokół nas i na całym świecie, abyśmy Jego miłością zapalali wszystkie narody na całej ziemi... Oddajmy się Bogu, abyśmy na całej ziemi mogli głosić świętą Ewangelię».

Św. Wincenty a Paulo





PROJEKT "ŚWIETLICA DLA MŁODZIEŻY W PAPUI NOWEJ GWINEI"

W poprzednim numerze Wiadomości Misyjnych mogliśmy zapoznać się z pracą księdza Włodzimierza Małoty w parafii Matki Bożej Fatimskiej w Woitape. Wśród różnych prac, których wymaga reaktywowanie parafii po 20-letniej nieobecności kapłana, ksiądz Włodzimierz podjął się otwarcia świetlicy, w której młodzież mogłaby się spotykać, rozwijać swoje talenty i zainteresowania, pogłębiać wiarę i wiedzę. Biorąc pod uwagę zdolności muzyczne Papuasów, ksiądz Włodek marzy o zakupie instrumentów muzycznych do świetlicy. Pragniemy pomóc ks. Włódkowi w realizacji tego projektu i zebrać na ten cel 8000 zł, które pozwolą wyposażać świetlicę w niezbędny sprzęt muzyczny.

Można wesprzeć projekt wyposażenia świetlicy w instrumenty muzyczne przesyłając na konto bankowe sekretariatu dowolną ofiarę z zaznaczeniem «projekt świetlica dla młodzieży w Papui Nowej Gwinei».



Bank PEKAO SA: 31 1240 4533 1111 0000 5433 2487
SWIFT CODE (dla wpłat z zagranicy): PKOPPLPW

Zgromadzenie na świecie



1 - Irlandia, 2 - Wielka Brytania, 3 - Belgia, 4 - Holandia, 5 - Dania, 6 - Portugalia, 7 - Hiszpania, 8 - Francja, 9 - Niemcy, 10 - Polska, 11 - Białoruś, 12 - Włochy, 13 - Austria, 14 - Czechy, 15 - Słowacja, 16 - Ukraina, 17 - Węgry, 18 - Rumunia, 19 - Słowenia, 20 - Chorwacja, 21 - Serbia, 22 - Albania, 23 - Grecja.



adgentes.misjonarze.pl